WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA W KRAKOWIE WYNOSI: DO KOŃCA ROKU 4 KORONY.
NUMER POJEDYŃCZY 20 h.
20 CENTIMÓW, 20 FENIGÓW, 10 KOP.

GŁOS
LITERACKI I SPOŁECZNY.

WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA ZAMIEJSCOWA WYNOSI: DO KOŃCA ROKU 5 KORON.
ZA GRANICĄ — 5 MAREK, 5 FRANKÓW ALBO 2 RUBLE.

Wydawca: KONSTANTY WOŹNIAK. | Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon Nr. 309. | Redaktor: KAZIMIERZ EHRENBERG.

Nr. 10. | Kraków, dnia 16. września. | 1900.

NA STARE DROGI.

Nawet najmłodsze pokolenie bywalców teatralnych jest w stanie zauważyć, iż w jego już oczach dokonała się pewna ewolucya repertuaru scen dramatycznych polskich, która ze swej znowu strony, jest odbiciem prądów przenikających obecnie całą wszechświatową literaturę sceniczną.

Od czasu gdy t. zw. realistyczny kierunek objął scenę w swoje posiadanie, rozpoczęła się jego dekadencya na wszystkich odrazu polach literatury, a upodobania szerszej publiczności zwróciły się w dyametralnie przeciwnym kierunku, ku neo-romantyzmowi — który teraz panuje niemal wszechwładnie w dziedzinie nowszej twórczości dramatycznej. Literatura sceniczna polska od najpierwszych jej przejawów począwszy, wzorowała się zawsze na postronnych mistrzach, co zresztą jest nader zrozumiałym i łatwym do pojęcia objawem, a ostatnia epoka istnienia teatru polskiego jest równie dobrze odzwierciedleniem prądów, które nurtują lub nurtowały zachodnią Europę jak i poprzednie. Jeżeli Kochanowski tworząc „Odprawę posłów greckich“ miał przed oczyma ducha klasyczne płody helleńskiej literatury, jeżeli patos Magnuszewskiego da się wytłomaczyć wpływem francuskich tragików, jeżeli wreszcie Słowacki zamalgamował w swoich utworach wpływy Szekspira, Wiktora Hugo i wielu innych, a Fredro jest bezsprzecznie spokrewniony z Molierem, to w obecnej twórczości naszych dramaturgów przebijają się aż nadto dosadnie studya, czynione nietylko nad wielkimi mistrzami współczesnego dramatu, lecz i nad dii minorum gentium, których jednodniowy rozgłos we własnej ojczyźnie doszedł do nas dopiero wtedy, gdy tam już o nich całkiem zapomniano.

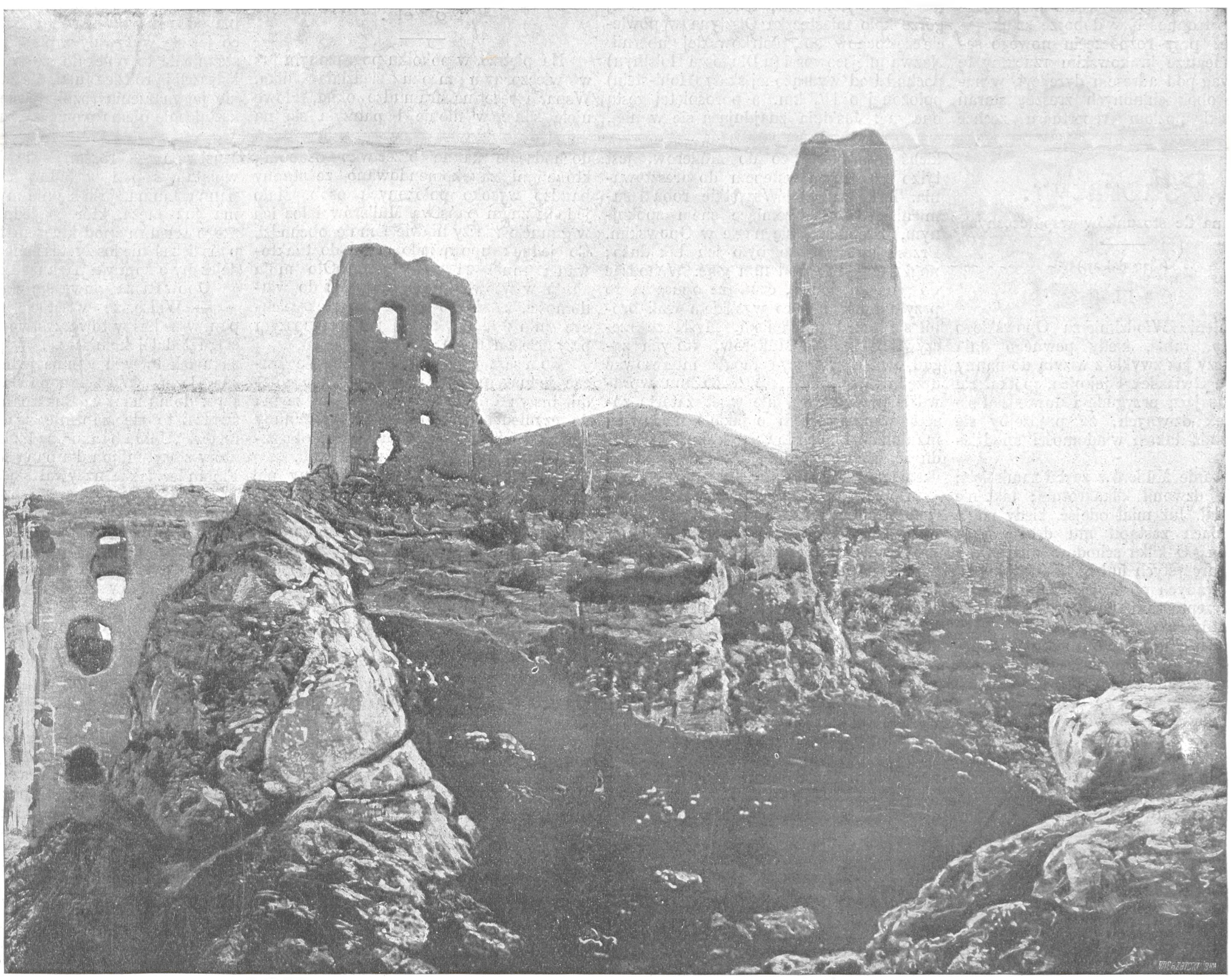
Z takim stanem rzeczy musimy się z koniecznością zgodzić, zarówno jak i z tem, że rodzima współczesna twórczość dramatyczna jest u nas jeszcze w kolebce, jeżeli przez to pojęcie zrozumiemy sztukę oryginalną — narodową, wolną od obcych naleciałości.

Nie każda sztuka kontuszowa jest narodową w głębszem tego słowa znaczeniu i na odwrót, utwór dramatyczny może być wiernem odźwierciedleniem duszy polskiej, bez uciekania się do czerwonych kontuszów litych, pasów i t. p. czysto zewnętrznych akcesoryów.

Nie o tem jednak chcemy mówić. Historya unaradawiania się sztuki w ogóle a dramatu w szczególności nie może być przedmiotem pobieżnego traktowania w szczupłych ramach dziennikarskiego artykułu; to też zastrzegając sobie niejednokrotny jeszcze powrót do tego, tyle ciekawego tematu, zwrócimy uwagę czytelnika na kwestyę, która musi łączyć się bezpośrednio z istnieniem i zadaniami dzisiejszego teatru w Polsce, tej nietylko pod artystycznym, lecz i moralno-społecznym względem ważnej instytucyi.

Scena, ze względu na doraźność i bezpośredniość wrażeń, oddziaływujących z desek teatralnych na tłumy widzów, może być, abstrahując od zabawy, potężnym środkiem wychowawczym dla mas i dźwignią ich poziomu zarówno moralnego jak i narodowego.

Środkiem do osiągnięcia tego celu jest odpowiedni dobór sztuk, wchodzących w repertuar danego teatru. Otóż, naszem zdaniem, sztuki deklamacyjno-kostyumowe zanadto się rozwielmożniły ostatnimi czasy na scenach polskich, bo nietylko romantyczne utwory rodzimych poetów znalazły należną im zresztą gościnę w naszych przybytkach Melpomeny, lecz i z obcych autorów reprezentowani są niemal wyłącznie twórcy sztuk t. zw. „stylowych“, i kostyumowych.



Ruiny zamku w Olsztynie.

Częściowem wytłomaczeniem tego faktu jest wspomniana już wyżej ewolucya zarówno literatury scenicznej jak i gustu publiczności, ale też tylko częściowem, gdyż ta neo-romantyczna moda przyszła do nas z zagranicy i nie jest koniecznym postulatem potrzeb umysłowych naszego narodu, lecz naśladownictwem zagranicy, a umiejętne układanie repertuaru mogłoby, nie neutralizując zupełnie tego bądź co bądź ożywczego prądu, wyznaczyć mu stosowne łożysko.

Trudno bowiem zaprzeczyć, iż dopóki będzie istniał jakikolwiek ustrój społeczny, będą też na tle jego zarysowywały się liczne konflikty głębokiej i poważnej natury, stokroć więcej nadające się do opracowania dramatycznego aniżeli przeróżnego rodzaju fantastyczno-erotyczne historye stanowiące wyłączną niemal karmę duchową naszej publiczności teatralnej. Przestańmy nareszcie odwoływać się wyłącznie do uczucia i fantazyi, na której hypertrofię cierpi i tak nasze społeczeństwo, wprowadźmy nasz teatr w ścisły związek z życiem, zwłaszcza społecznem, a gdy rodzima twórczość zostawia na boku słuszne wymogi czasu, gdy autorowie polscy częścią zamilkli a częścią spacerują po olimpijskich wyżynach zdała od „profanum vulgus“, to należy wyciągnąć dłoń po obce wprawdzie, lecz ogólno ludzkiego znaczenia płody cudzoziemskiej literatury. Stosowny dobór sztuk społeczno-obyczajowej treści, jeżeli kierować nim będzie jakaś myśl przewodnia, może wpłynąć bardzo dodatnio na umoralnienie mas, a dobre, zdrowe hasła etyczne, wypowiadane przez usta aktorów, z pewnością nie będą miały mniejszego wpływu na odnośne warstwy społeczeństwa, aniżeli szumne frazesy komedyantów — politycznych.

Bezwzględne stosowanie się do gustu publiczności, nietylko zniżyłoby teatr do rzędu spekulacyjnych przedsiębiorstw, mających na celu jedynie jak najwyższe oprocentowanie kapitału, lecz nadto mogłoby doprowadzić do wcale niepożądanej jednostronności w doborze sztuk.

To też przy rozpoczęciu nowego sezonu w teatrze krakowskim rzucamy tę garść uwag pod adresem dyrekcyi, w nadziei, że obok chlubnych zresztą starań o literacki poziom repertuaru zechce uwzględnić także potrzeby naszego społeczeństwa i postara się o dostarczenie mu obok lekkiej, czysto estetycznej strawy, także duchowo pożywniejszego pokarmu, jakim są sztuki o zdrowem, bądź narodowem, bądź też społecznem założeniu.

A popyt wywołuje podaż; gdy się okaże, że teatr potrzebuje utworów o poważnej treści i wyrazistej tendencyi, to nie jest rzeczą wykluczoną że nasi najmłodsi autorzy dramatyczni wyjrzą nieco po za koniec swego nosa, a raz wyjrzawszy, dojdą może do przekonania, iż po za malarzami, muzykami i aktorami są jeszcze na świecie ludzie, rzeczy i sytuacye, godne ich uwagi i pióra.

Byłoby to otworzenie okna nie na Europę wprawdzie, lecz na własne społeczeństwo, a zarazem próba ogniowa dla młodych talentów, z której zwycięsko wyszliby tylko ludzie umiejący rozprawiać o o czemś więcej prócz sztuki i kobiet. Wtedy zaś, może i ci zwyciężeni wydostawszy się z sieci dziecinno-nadczłowieczych pojęć przestali by uważać ludzi za karykatury i wygrywać im miast zdrowych pieśni życia neuropatyczne sonaty; twórczość dramatyczna zmieniła by się z kwiatu pleśni, co wyrósł na bagnistym gruncie iście filisterskiej ciasnoty umysłowego widnokręgu, na zdrowy krzew, o korzeniach utkwionych w społecznym gruncie, a zmory dyletantów, trapiące jeszcze od czasu do czasu nieszczęsnych widzów teatralnych ustąpiłyby przed jasnem światłem zorzy, zwiastującej nową erę polskiego dramatu.

OLSZTYN.

Ruiny, których wizerunek podajemy naszym czytelnikom, leżą na wyniosłej górze koło miasteczka Olsztyna w powiecie częstochowskim, piotrkowskiej gubernii. Nazwa miejscowości (u Długosza Holsthyn) pochodzi od wydrążonej skały (Hohl-stein) położonej o $1^1/_2$ km. a porośniętej gęstą buczyną. Jaskinia znajdująca się w niej, odznacza się obfitością wapiennych stalaktytów, które bądź wiszą w postaci sopli, bądź też zbiegając po ścianach tworzą jakby piszczałki organowe.

Zamek Olsztyński został wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego. W r. 1358 poniósł w podziemiach zamkowych Maćko Borkowic śmierć głodową. W r. 1370 Olsztyn dostał się wraz z całą ziemią wieluńską Władysławowi ks. Opolskiemu, tytułem lenna, lecz Władysław Jagiełło z powodu uciskania przez pana zamku okolicznych mieszkańców zniósł nadanie, zdobył w r. 1396 zamek Olsztyński i przyłączył go do korony.

Dzisiejsze szczątki trzech baszt i murów nie mogą dać dokładnego wyobrażenia o dawnym zamku, składającym się z dwóch części: dolnej przeznaczonej na mieszkania i górnej, czyli właściwej twierdzy. Każda z tych części miała osobny dziedziniec obwiedziony murem, a prócz tego naprzeciw zamku wznosiła się nadto obronna baszta. Warowny ten gród przetrzymał niejedno oblężenie. Przy obronie jego murów wsławił się w r. 1587 Kacper Karliński, który straciwszy już pięciu synów na wojnie, nie zawahał się strzelić do szeregów niemieckich, na których czele postępowała mamka z najmłodszem jego dzieckiem, zabranem do niewoli przez teutońskich barbarzyńców. Niemcy myśleli, iż pod taką osłoną bezpiecznie zamku dobędą, ale Karliński wolał poświęcić własne dziecko, aniżeli oddać gród swej pieczy zwierzony. Taki dowód zaparcia się siebie i niesłychanego zaiste męstwa, zmusił najeźdźców do odstąpienia.

W 1656 r. podczas szwedzkiego najazdu został Olsztyn zburzony i do dzisiaj wspaniałe te ruiny chylą się ku coraz większemu upadkowi.

Stłumiona iskra.

Nowela.

Na piętrze, w pokoiku pogrążonym już w wieczornym mroku siedziała Julka. Wsparła ręce na framudze okna, głowę ujęła silnie w dłonie i patrzyła się na ściekające wolno po szybie krople drobnego, jesiennego deszczu: zdawało się że była nań obojętną, że szklisty wzrok jej bezmyślnie błądził po zachmurzonem niebie i ulicznem błocie, a jednak Julka porównywała w myśli ten smutek w naturze, tę nielitościwą bezbarwność jesiennego deszczu, tę dziwną i nieokreśloną tęsknotę wichru z tem, co się w jej duszy działo. Zdało jej się, że ten deszcz nie ustanie nigdy, że trwać będzie w nieskończoność, dłużej niż życie ludzkie trwa.. Otrząsnęła się z tego zapatrzenia i znów zajrzała w głąb swoją... znalazła tam taki bezbrzeżny smutek i niewidziała granic jego, poczuła w sercu ból przeciągły i wielką pustkę koło siebie, po raz pierwszy uwierzyła w nieszczęście, utraciła jasny promyk nadziei swoich... może na zawsze.

Nie dawniej jak wczoraj, było tam w tej główce tak jasno jeszcze, że cała postać Julki zdawała się być od tego światła promienną. Uśmiechał jej się świat i ona śmiała się do niego z naiwną wiarą dziecka, a była tak szczęśliwa, aż ją ogrom jej szczęścia przerażał niemal, tak, że rada byłaby dzielić się nim z całem otoczeniem swoim i z całym nawet światem. Było jej tak dobrze, że chciała to szczęście roztoczyć na wszystkich, by jej szczęściem byli inni szczęśliwi. I potrzeba było kilku chwil, żeby to wszystko zostało tylko wspomnieniem, pełnem żalu. Potrzeba było orzeczenia przyjaciół ojca, że Julka nietylko talentu, ale nawet wybitniejszych zdolności do muzyki nie posiada, aby z wielkim trudem zdobyty wyjazd do Lipska upadł po raz trzeci i upadł bezpowrotnie. Już miała rzeczy spakowane, już pożegnała z pół miasta, uradowana niezmiernie, że nareszcie ziściły się jej najmilsze marzenia. Myślała o tem lat kilka, jeszcze kiedy Stefka Balicka wyjeżdżała do konserwatoryum, potem gdy ta po roku wróciła ztamtąd, opowiadając cuda o zagranicy, o koncertach jakich słuchała, o tem życiu artystycznem pełnem takich wielkich dla duszy rozkoszy. Julka otwierała tylko szeroko oczy, tamowała w sobie oddech i tłumiła ciężkie westchnienia, co jej się wyrywały z piersi. Czasami westchnienie to oblekało się w cichą skargę i słyszeli ją rodzice Julki, ale zawsze wszystkie jej marzenia rozbijały się o to, że na kształcenie niema pieniędzy, zresztą po cóż

„Psubraty“.

Powieść na tle stosunków współczesnych.

(Ciąg dalszy.)

III.

Zdumienie Włodzimierza Opowskiego nie miało granic, kiedy pewnego dnia przyszedłszy jak zwykle z wizytą do panny Müller de Gwiazdek i jej ojca, spotkał się ze wstrząsającą przygodą i dowiedział się rzeczy tak dziwnych, że prędzejby się śmierci, niż takich wiadomości spodziewał.

Mieszkanie Müllerów zastał zamknięte; daremnie dzwonił kilkakrotnie; nikt nie odpowiadał. Już miał odejść, kiedy nagle na schodach zastąpił mu drogę obcy mężczyzna. O kilka schodów niżej stało dwóch barczystych ludzi, nieruchomych, wyprostowanych po wojskowemu.

— Przepraszam pana za nieprzyjemność, którą mam panu sprawić — rzekł obcy człowiek, uchylając uprzejmie kapelusza. — Przykry obowiązek mojego urzędu zmusza mnie poprosić pana o pofatygowanie się wraz ze mną.

— Dokąd? — zawołał wystraszony Opowski, domyślając się, że ma przed sobą agenta policyi i szukając gorączkowo myślą, gdzie i w czem popełnił „nieostrożność“, stawiającą go już wprost w kolizyę z ustawą.

— Do biura bezpieczeństwa publicznego. Mam polecenie zaprowadzić tam każdego, ktokolwiek mógłby nam udzielić bliższych wyjaśnień o lokatorach tego mieszkania, do którego drzwi pan przed chwilą dzwoniłeś.

Opowski otworzył usta osłupiały. — Chciał się pytać, co to wszystko znaczy, ale ajent powstrzymał go skinieniem ręki:

— Nie tłomacz się pan przedemną, to zbyteczne. Proszę tylko iść za mną w pewnem oddaleniu. Ci dwaj ludzie także mają polecenie bardzo nieznacznie postępować za panem. Mam nadzieję, że po krótkiem wyjaśnieniu, przeprosimy pana jak najuprzejmiej za tę małą przykrość.

Opowskiemu nie pozostawało nic innego, jak zastosować się do rozkazu; idąc w milczeniu za ajentem, daremnie próbował zebrać myśli. Ciągle jeszcze był w strasznej obawie, że owa potrzeba jakichś informacyj co do Müllerów, jest tylko grzecznym wstępem do aresztowania. Tylko za co? Wszystkie robaki sumienia, dotąd drzemiące snem spokojnym, przebudziły się nagle w Opowskim. Przestraszył się, że było ich tak dużo: nogi zaczęły się pod nim giąć. Wchodząc do gmachu policyi, czuł, że opuszcza go przytomność i tylko wysiłkiem woli bronił się przed omdleniem. Myśl, że rzeczywiście idzie o Müllerów, których zagadkowa egzystencya mogła interesować urzędników policyi, przeszła mu wprawdzie przez głowę, ale wnet zatarta została wspomnieniem o jakiejś niedawnej manipulacyi wekslowej, której karygodność, zachęcony dotychczasowem powodzeniem, lekceważył.

Dopiero komisarz policyi, przed którym postawiono Opowskiego, rozproszył mrok rozpaczy, osiadający mu na umyśle; komisarz pierwszemi zaraz słowami potwierdził to, co mówił ajent. Rzeczywiście szło o Müllerów, tylko o Müllerów! Opowski odzyskiwał pewność siebie, wytwornosc manjer i arystokratyczną dumę.

— Pan zamierzałeś wejść do mieszkania, zaopatrzonego numerem trzecim na I. piętrze, w domu liczba 67, na Parkringu — mówił komisarz. — Ponieważ przeciwko osobom, mieszkającym tam dotychczas, wdrożone są dochodzenia karne, przeto wydaliśmy rozkaz czuwania nad wszystkimi, którzyby do tego mieszkania wejść zamierzali. Idzie nam mianowicie o otrzymanie jak najszczegółowszych informacyj o pochodzeniu, o szczegółach z przeszłości i o stosunkach teraźniejszych — lokatorów owego mieszkania.

Opowski, szybko zoryentowawszy się w sytuacyi, z trwogi przeszedł do nieopisanego zdumienia. A kanalje! myślał. Niedarmo więc was podejrzywałem o jakieś brudy. Ale księżna Berta!! Tegoby jeszcze brakowało, aby i ona była w to wszystko wplątana. Ładnie będą wyglądali Starosłupscy! Odsunąwszy jednak te refleksye prędko na bok, Opowski uznał za stosowne, że trzeba w każdym razie dla nadania sobie powagi, wziąć z góry komisarza.

— Kochany panie — rzekł, poprawiając wąsa. — Przyszedłem tu tylko przez uszanowanie dla władzy, ale niech mi będzie wolno powiedzieć panu, że taki sposób postępowania oburza mnie do żywego. Nie *u*ozumiem, co może znaczyć dochodzenie ka*u*ne przeciwko osobom, któ*u*e mi za*u*ekomendowano ze st*u*ony ba*u*dzo wysoko położonych osób. Mało jednak znam państwa Müllerów i los ich w g*u*uncie rzeczy niewiele mnie obchodzi. Co jednak upoważniło pana do t*u*aktowania mnie za przestępcę? Oto moja ka*u*ta wizytowa. Proszę przyjąć do wiadomości, że się poska*u*żę przed ekscelencyą minist*u*em, któ*u*y jest najlepszym przyjacielem mego wuja...

Komisarz jął się sumitować, nie tracąc jednak pewnego podejrzliwego chłodu, instynkt bowiem ostrzegał go, że ma do czynienia z człowiekiem, któremuby nie było nieswojo w atmosferze, otaczającej biura, w jakich się znajdowali.

— Widzi pan — mówił, — my nie mamy innego sposobu, kiedy idzie o szybkie działanie. A tu właśnie jest nagły wypadek. Więc pan powiadasz, że zarekomendowano panu państwa Müllerów przez wysoko położone osoby. To bardzo ciekawe. Ale przedewszystkiem — proszę o bliższe wyjaśnienie i legitymacye, z kim mam honor rozmawiać. Czy pan stale mieszka w Wiedniu?

Zaczęła się formalna indagacya; Opowski odpowiadał na pytanie z rozdrażnieniem, które jednak potem ustąpiło ciekawości, w miarę jak pytania komisarza uchylały cokolwiek rąbek tajemnicy, otaczającej Müllerów. Opowiadanie Opowskiego o Starosłupskich, o księżnej Bercie, o sposobie życia Müllerów, o znajomościach, jakie poczynili w Wiedniu protokółował komisarz nadzwyczaj skrzętnie. Gdy z opowiadań Opowskiego wynikło zupełnie wiarygodnie, że nic go istotnie nie łączy z tajemniczą przeszłością Müllerów, uprzejmość komisarza zdwoiła się i wyjaśnienia, o co właściwie idzie, stawały się mniej skąpe.

— Czy pan słyszał co, panie hrabio — zapytał wreszcie — o pieniądzach, które pan Müller lub jego córka ulokowane mieli w jednym z tutejszych Banków? Czy co wspomnieli panu o tem?

— Nie, nigdy — odrzekł Opowski — nie wspominali o swoim majątku ani słowem jakkolwiek często naprowadzałem na ten przedmiot rozmowę. Przyznam się panu, że panna Janina podobała mi się bardzo i plątała mi się po głowie myśl ożenienia się z nią, więc zupełnie naturalnie pragnąłem mieć jakiekolwiek informacye o jej posagu....

— Bóg pana strzegł przed tem małżeństwem — rozśmiał się komisarz — wplątałbyś pan w ładną kabałę.... Owa panna Janina, jeśli się nie mylimy, dawno ma już męża, którego jednak od dłuższego czasu my pod kluczem trzymamy — pański zaś niedoszły teść mocno jest podejrzany o sprawki pachnące zdradą stanu.

Opowski za głowę się złapał.

— Widzę, że w istocie najniewinniej pan wszedłeś w towarzystwo tych ludzi — ciągnął dalej komisarz. W pańskich zeznaniach intryguje mnie jednak owa księżna Berta. Więc pan powiadasz, że ona się z domu nazywa Bukszpan? Hm, to się zgadza, to się zupełnie zgadza! Według relacyi „Union banku“ żyd z Buenos-Aires, który złożył miljon dla pana Müllera i pani Finländer także nazywał się Bukszpan.

— Ależ tak, tak.... — zawołał żywo Opowski. — Słyszałem o tem nieraz, że dziadek księżnej Berty był kupcem w Buenos-Aires i tam zrobił wielki majątek, którego część stanowi posag księżnej....

— Jeżeli ów Bukszpan był takim samym kupcem, jakim był mąż pani Finländer, no, to ja nie winszuję księciu tych pieniędzy jakie wziął za żoną.... Bo pan zapewne nie domyślasz się jakim towarem kupczyła wraz z mężem, ta, którą pan omal nie wybrałeś za panią swego serca.

I komisarz począł opowiadać oszołomionemu Opowskiemu szczegóły aresztowania Finländera wraz z jego żywym transportem w Udine, oraz zeznań jakie ten człowiek przed sądem poczynił zrzucając całą odpowiedzialność za występny handel na swoją małżonkę. Już miano ją pochwycić w drodze z Berlina do Udine: ostrzeżona jednak niewiadomo przez kogo zdołała uciec. Rozpisane za Izabellą Finländer listy gończe nie miały żadnego skutku. Dopiero przed niedawnym czasem dyrekcya „Union banku“ zawiadomiła policyę, iż na imię Finländerowej oraz niejakiego Gottlieba Müllera złożony został depozyt w wysokości miljona koron. Wydano tedy polecenie dyrekcyi Banku, aby skoro tylko ktokolwiek zgłosi się w sprawie tych pieniędzy, zatrzymano go pod jakimkolwiek pretekstem w biurach Banku i uprzedzono telefonicznie policyę.

Niedalej jak poprzedniego dnia telefon w biurze dyżurnego komisarza dał znać, że Izabella Finländerowa i Gottlieb Müller przybyli osobiście po pieniądze, i że czekają na ich odbiór w jednej z sal Banku.

(C. d. n.). *Wacław Pancerz.*

pojedzie, artystką nie będzie, bo się przecież już uczy lat trzy i tak znów wielkiego postępu w niej niewidać, nauczycielką jej być nie pozwolą, bo na to nie ma zdrowia... zresztą... tam w przyszłości... może interesy pójdą lepiej... to i jeszcze czas pomówić o tem.

A tymczasem Stefka Balicka przyjeżdżała co roku na wakacje z coraz to większym zasobem techniki i popisywała się nią w salonach u znajomych. I podnoszono jej grę do wyżyn już nie artyzmu, ale genjuszu i wskazywano Julce jako przykład, że tylko takie talenty kształcić się mogą wyżej i tylko na takie zdolności nie żałuje się sum wyłożonych, a to przecież sumy bajońskie. Ale Stefka dobrą była dziewczyną i nie psuły jej te pochwały, a chociaż grała w salonie, grała przedewszystkiem dla siebie, a nie dla publiczności. Czuła to, że pracą zrobiła więcej niż talentem, wiedziała że tylko wytrwałością wyrobiła i rozdmuchała tę iskierkę jasną, którą jej Stwórca sam do piersi włożył, czuła że ta iskierka była bardzo drobną tak drobną, że ciągle na nią dmuchać trzeba było, aby nie zagasła. I nie wiedzieli ci, co się jej grą zachwycali, jak ta Stefka siadywała nieraz u Julki wieczorami i słuchała jej muzyki.

Julka nie paliła światła i kiedy pokój w zupełnym był pogrążony zmroku, siadała do fortepianu. Zrazu nieśmiało zaczęła pobrzdąkiwać w klawisze, bo się wstydziła grać przy Stefce i rozmawiając wpadała w pierwsze takty jakiegoś nokturna Chopina lub Beethowenowskiej sonety. I pod wrażeniem tych pierwszych taktów myśl jej wybujała gdzieś wysoko i zapominała o świecie... Chopin i Bethowen ulecieli w przestrzeń i rozpłynęli się we mgle cichej... została Julka sama... sama ze swymi własnemi myślami. I wybiegały z pod jej drobnych paluszków jakieś tony trwożne, lękliwe a drżące... powoli stawały się coraz szersze, głębsze, aż nareszcie przechodziły w potężny tłumiony jęk, a tyle w nim było smutku i tęsknoty dziwnej, taka potęga uczucia, taki młodzieńczy zapał, rwanie się naprzód ku światłu i szamotanie się młodej duszy, że kto tej muzyki słuchał, tego porywał jej wir i niósł go, niósł... niósł hen w ten inny świat... tam w tę cudowną krainę snów i marzeń o szczęściu. Stefka zwykle z początku krytykowała w myśli fałszywe uderzenia i brak wyrazistości w passażach, bo przywykła do systematycznej nauki, więc mimowoli marszczyła się na zboczenia techniczne, ale powoli ogarniał ją ten szał muzyczny, ogarniał ją niewypowiedziany czar, przenikał ją ten święty ogień, który uczuwała w grze Julki.. I drżała nieraz cała pod wrażeniem tej muzyki, zwłaszcza gdy Julka, ześlizgnąwszy się po mazurkach Chopina z własnej poczerpnęła duszy i komponować zaczęła... Stefka czuła potęgę tego więzionego talentu, czuła wyższość Julki nad sobą i rwała się jej dusza ku tej duszy bratniej a wyższej i odczuwała rozkosz wielką w tym słuchaniu, choć nieraz przygnębiało ją to, że Julki zrozumieć nie była w stanie, tak była od niej silniejszą, że czasem Stefka chowała się w głąb fotela, jakby się obawiała, by jej nie porwała i nie poniosła ta szerokość i pełność tonu.. i uczuwała się tak małą, takiem niczem, w stosunku do tej nieuczonej artystki, widziała tę jej walkę wewnętrzną, to rwanie się naprzód tej, co tyle więcej od niej nosiła w swej duszy, jakąż więc ona, Stefka, musiała być biedną, kiedy w grze Julki słyszała tyle smutku i skargi, jakby tęsknoty i pogoni za czemś niepochwytnem. O ileż ona nawet od tych mar cudnych, od tych złudzeń dalej być musiała niż tamta.

O ile mniej od Julki danem jej było nawet rozumieć tylko szczęście. I porywała ją wtedy jakaś rozpacz bezgraniczna i żal straszny i łzy leciały jej po twarzy, jak krople rosy obfitej i zaczynała łkać głośno i czuła jak ten jej płacz łączył się dziwnie harmonijnie z tonami muzyki, jak się w nastroju duszy zespoliła z nastrojem gry Julki. Łączyła je jakaś wielka, a niewidzialna serdeczna siła.... wyczerpana w tym smutku rzucała się do nóg Julce i klęcząc tak przy niej, oparłszy zapłakaną głowę na jej kolanach, słuchała dalej tej, co już teraz nie czuła nic koło siebie, co już całą duszą, sercem, krwią, istotą swą całą była w muzyce. Już ją opanował ten wir sztuki, wzbiła się w nim wysoko ponad ziemię i szła wyżej i wyżej do zaczarowanego świata piękna... już otwierały się jej podwoje szczęścia, już takty marsza tryumfalnego zwiastowały wejście tej czystej, przez sztukę uświęconej duszy do tronu chwały nieśmiertelnej i paliła ją skroń i oczy otwierały się szeroko, a z piersi wydobywał się chwilami tłumiony spazm, jakiś krótki, przyspieszony w tej gorączce oczekiwania... i zaczynała łkać silniej i silniej, aż ten płacz wstrząsał nią całą tak, że opuszczała ręce i ze znużenia zsuwała się z krzesła, a nieraz całym ciężarem swojej osoby spadała na klawiaturę, która pod tym uciskiem zgrzytała złowrogo. Stefka chwytała wtedy Julkę w objęcia, zanosiła ją na kanapę i ocierając własne łzy, całowała jej czoło, całowała oczy, usta, ręce, zsuwała się do jej nóg, ściskała jej kolana i pochłaniała ją całą zmysłami, tę drobną, malutką Julkę, a ta się jej bronić nawet nie miała siły i uśmiechając się tylko smutnie przez łzy szeptała cicho: co robisz Stefka... nie rób głupstw... Ale Stefka zamykała jej usta pocałunkiem i patrzyła w jej jasną duszę, patrzyła w to wielkie miłością serce i bolały ją te sople krwi, co się po tem bólem nabrzmiałem sercu sączyły. Po takim wyczerpaniu Julka zawsze zesłabła tak bardzo, że ją trzeba było kłaść do łóżka i leżeć musiała nieraz po dni kilka a w dodatku słuchać wyrzutów doktora, że za dużo grywa, że takie bębnienie bez szkoły, bez żadnej metody nie prowadzi do żadnego celu, że Julka nie ma powołania do sztuki, zrobiłaby więc lepiej, gdyby się zajęła czem innem, bo pracą bez talentu nie dochodzi się do niczego, a ta praca ją wyczerpuje i nie przynosi wiele pożytku. Nie wiedział, że ją wyczerpywała nie praca, ale wielki nadmiar uczucia, a jego filisterskiej duszy nie śniło się nawet, że człowiek tak wielkie skarby w sobie nosić może. I Julka wierzyła chwilowo jego słowom, ale po jego odejściu buntowało się tam coś w niej strasznie i znajdowała w sobie wielką siłę, by rozerwać wszystkie zapory, co ją dzieliły od tego szczęścia, którego nie rozumiała, ale które czuła silnie i szła do niego z wiarą i poświęceniem bezgranicznem.

Obiecywano jej z roku na rok, za każdym przyjazdem Stefki na wakacye i tak schodziło wciąż, aż w tym roku rodzice stracili połowę majątku, a tem samem upadł ostatecznie projekt wyjazdu do Lipska. Właśnie tydzień temu Stefka przyszła do rodziców Julki pożegnać się, gdyż znów miała wyjechać już po raz ostatni do Lipska, dokąd zawezwał ją listownie profesor, którego była ulubienicą. Stefka dnia tego grała dużo i nawet prosić się nie dała wcale, bo niemą prośbę czuła w oczach Julki, która nigdy przy gościach grać nie chciała i wolała słuchać innych. Stefka grała tylko dla niej, wiedziała, że tylko one dwie rozumieć się potrafią w zupełności i mimo, że otoczenie ziewać już zaczęło ze znużenia, Stefka grała wciąż, bo czuła na sobie palące spojrzenie Julki. I naraz stała się dziwna rzecz. Papa Stefki rozmarzony po wypiciu zdrowia córki, gości, gospodarstwa... pod wpływem muzyki ukołysany do słodkich sennych marzeń, zbudził się nagle silniejszym akordem i powstawszy z rozczochraną głową z kanapy, zbliżył się do ojca Julki i rzekł na wpół sennym głosem. — A wiesz co... panie Michale... przyszła mi świetna myśl do głowy .. moja Stefka tam sama w Lipsku, gdyby tak Julkę wysłać razem... Przecież to jej dawne marzenie. Dziewczyna zobaczyłaby świat, poznałaby innych ludzi, a kto wie, możeby i z niej co wyszło, zawsze przecież bardzo lubi muzykę... Co?... jak pan panie Michale?... — Ja?... ano co tego... a no ja... ja nie wiem... jak tam Julka ja jej przecież nie żałuję, tylko kto wie czy się to opłaci, wiecie, że mi jest ciężko... a zresztą, jak Julka... ja pragnę jej szczęścia... gdyby miała chęć... A Julka zaparła oddech w sobie, słuchała tych wyrazów z bijącem sercem, rumieniec silnie zaczerwienił jej policzki, oczy dziwnym błysnęły blaskiem, wargi jej drgać poczęły jak do płaczu, z ust wydobył się tylko stłumiony okrzyk i rzuciła się ojcu na szyję... zawisła tak na nim, a on ją przycisnął do starej piersi, pocałował tą drobniutką rozpaloną główkę i rzekł: — co tam... pojedziesz... masz tu na drogę.. resztę to później... ja ci nie żałuję moje dziecko... jeżeli to dla twojego dobra... jedź... pamiętaj, że... że... — i nie dokończył, bo łzy mu tamowały mowę... Nastała chwila uroczystej ciszy, tej ciszy, co bywa zwiastunem burzy, bo naraz wypadły zewsząd pociski i poczęły się protesty, opozycya przeciwko tak szalonemu projektowi... Taki wydatek... to nie ma sensu; poczęto pokpiwać sobie nawet z talentu Julki, ale ojciec trwał jakoś w swoim zamiarze i powiedział, że raz danego słowa nie cofnie... Zaczęto przekonywać Julkę, ale ona czuła, ile zdobyła i bała się wypuścić z rąk szczęście, które przez tyle lat ścigała. I na nic się nie zdały żadne uwagi i perswazye. Julka była jak mur. Ta drobna istota stała się silną i nieubłaganą i wstąpił w nią hart męski. Stefka obiecała się nią zająć w Lipsku, być jej siostrą i opiekunką. Ona razem ze Stefką... co za radość!... Zdala od tego filisterskiego otoczenia, tylko dwie oddane wyłącznie sztuce.

To jak sen, tyle rozkoszy, zbliżyć się do tych nieznanych, a tak pożądanych ideałów. I snuła już na tej kanwie ze sztuki marzenia o dalszym swoim życiu, o szczęściu dla swoich starych rodziców. I tak prześniła noc całą, aby przebudziwszy się usłyszeć na nowo protesty i opozycyę co do projektowanego wyjazdu. Stefka już odłożyła dla Julki dzień odjazdu, ale w domu nikt słuchać nie chciał o tem. Ojciec Julki co prawda nie cofał słowa, ale dał jej uczuć wyraźnie, że radby był gdyby Julka cofnęła się sama. Rodzina wyrzucała jej, że nie ma przywiązania do domu a stare ciotki tak ją załukały biedaczkę, że sama nieraz myślała, iż popełnia jakąś zbrodnię upierając się przy tym wyjeździe. Ale nie dość było tej opozycyi w domu. Znalazła się opinia publiczna, opinia małego miasteczka, co gasi każdy jaśniejszy promień, gnębi wszelkie szlachetniejsze porywy umysłu i serca. Tłumi święty ogień uczucia, aby swojej własnej w tym kontraście nie uznać nicości i rzuca się jak kruków stado na dogorywającego trupa i depcze wszystko, co dla tamtych jest wzniosłem i świętem. Tak było i z Julką... nie oszczędzono jej niczego, coby ją dotknąć mogło. Występowano nawet z punktu obrony biednego ojca, który rwać się musiał na wszystkie strony, aby braki łatać ale nie pomógł mu żaden z nich, kiedy go prawdziwa gnębiła nędza. Jakiż więc cel mieli w krzyżowaniu dróg tej, która im nic winną nie była. Skąd się wzięła ta nieubłagana do Julki nienawiść. Najrozmaitszych próbowano sposobów, aby odwieść Julkę od jej zamiarów, ale Julka trzymała się ostro. W chwilach, gdy ją odbiegała odwaga, gdy już jej sił brakowało do odpierania tych wszystkich zarzutów, jakiemi ją obrzucano, gdy czuła, że ulegać im zaczyna, biegła do Stefki i tam znów w rozmowie z nią czerpała nowy zapas energii. Sztuka dodawała jej siły. I odkładano wyjazd z dnia na dzień, bo Julka uparła się jechać stanowczo, projektując sobie żyć tak oszczędnie, aby to nie było z wielką szkodą dla kieszeni ojca. Ona obiecywała sobie w duchu odrobić kiedyś to wszystko, bo bardzo kochała swoich staruszków i nie chciała, żeby się zapracowywali dla niej. Stefka starała się przyśpieszyć wyjazd, bo widziała jak Julka nikła w oczach, patrzyła na jej rozgorączkowane źrenice, czuła jej przyśpieszony oddech i zaczynała się obawiać o jej zdrowie.

Nie miała jednak nawet przybliżonego wyobrażenia o tem, jak Julkę męczyło to wszystko. Stefka nigdy nie czuła w sobie podobnej walki. Nie rozumiała tej rozterki serca człowieka z duszą artysty. Julka myślała teraz często, dlaczego Bóg dał ludziom naraz dwie dusze, na co pozwolił im kochać podwójnie, kochać ludzi i sztukę... Czy wielkie dzieła geniuszów natchnionych były także zawsze tylko owocem ich bólów. I chciała czasami zapomnieć o muzyce, zapomnieć zupełnie: ale gdy sobie uświadomiła życie bez niej uczuła, że życie takie byłoby gorsze, niż śmierć sama. Ona żyła przez sztukę, przez nią odczuwała smutki i rozkosze życia, bo miała ją w sercu, miała ją w mózgu i we krwi swojej. I gdy jej wyrzucano niewdzięczność córki dla rodziców, płakała ciężko nad tem, że jej miłości dla sztuki, przezwyciężyć miłością dziecka nie może. Nie mogła jednak, czuła, że właśnie wtedy popełniłaby wielką niewdzięczność względem Tego, co ją tem talentem obdarzył i do grona wybranych swoich policzył. Próbowano jeszcze tłómaczyć jej, przekładając, że jest słabą, że zdrowie jej nie zniesie tyle trudów i niewygód, jakie za skromne fundusze swoje znosić będzie zmuszona. Ale na te argumenty Julka uśmiechała się tylko i uspokajała kilkoma słowy tych, którzy jej to z serca radzili i zapewniała ich o swoim dobrym zdrowiu. Czuła przecież, że zdrową nie jest, bo wiedziała jak ją wyczerpywała muzyka i nieraz obawiała się strasznych jej skutków na przyszłość.

Bała się tej wielkiej dla sztuki miłości, jaką czuła, że poweźmie dla niej, gdy ją pozna więcej, gdy się do jej ołtarzy przybliży. Ale cóż jej po życiu bez tego, co za największe w szarej jego treści uważała szczęście. Czuła, że do szczęścia tego nie dochodzi się nigdy, że ono starczyłoby na wieki, a nie na krótki żywot ludzki, że idzie się do wrót tego szczęścia przez krew i łzy z miłością bezgraniczną dla sztuki, ale że już samo dążenie doń jest wielkiem i jedynie prawdziwem szczęściem. Sztuka wydawała jej się nieskończonością i musiała chyba trwać tam jeszcze po za grobem, tak jej się wydawała wielką, że świat ten był dla niej za mały. Tak myślała Julka i wierzyła w swój wyjazd i pragnęła go przyśpieszyć, bo czuła, że się w niej coś psuje. Cierpiała często na ból głowy, ale ukrywała się z tem, bo toby mogło wyjazdowi przeszkodzić. Tym czasem po za jej plecami rozwinięto całą przeciwko niej kampanię i nareszcie postanowiono wysłać Stefkę, ażeby wytłomaczyła Julce niemożliwość wyjazdu brakiem funduszów, z jakimi możnaby w taką podróż wyruszyć. Stefka sama nie wiedziała ile wydaje, wiedziała tylko, że kosztowała dużo, ale też nie oszczędzała wcale i niczego jej nie brakło. Chciała zrobić poświęcenie z wygód jakiemi była otoczona, ażeby w miarę możności dopomódz Julce. I była szczerze zdecydowana to zrobić, ale zaczęto ją przekonywać, że Julka dla swojego zdrowia potrzebuje dwa razy tyle co ona, że ojciec Julki od zmysłów prawie odchodzi, że się w takiej krytycznej chwili, zgodził na wyjazd córki, że to wszystko na tak krótki czas nie ma sensu, że to tylko pierwszy krok do nieskończonych na przyszłość marzeń i wydatków na dalsze kształcenie, a na to brakło pieniędzy.

I Stefka tak przekonana wybrała się w przeddzień wyjazdu do Julki i ostrożnie wytłumaczyła niemożliwość doprowadzenia do skutku jej zamiarów. Widziała Julkę na pozór spokojną, ale nie widziała też, co płynęło tam w jej piersi i ściskały serce: rozeszły się smutne. Stefka uczuła, jak Julka podała jej chłodno rękę, pocałowała Julkę w czoło, zimnym oblane potem i wyszła. Julka została sama w pokoju... otworzyła po cichu i wyszła na próg... zeszła na dół po schodach i poszła w ślad za Stefką... ujrzała ją w świetle latarni, jak skręcała w boczną uliczkę. Chciała krzyknąć na Stefkę po imieniu, ale ją coś ścisnęło za gardło... Stanęła... spostrzegła się, że uszła ze trzysta kroków bez płaszczyka i bez kapelusza, mimo, że deszcz padał ulewny, i zawróciła szybko do domu — więc to wszystko prawda... to nie sen... tak, Stefka była u niej, dzisiaj, przed chwilą żegnały się... potem ona wyszła za Stefką.. tak wyszła... jeszcze tu stoi przemoknięta na ulicy... więc wszystkie jej marzenia prysły, jak bańka mydlana, rozwiały się jak dym w powietrzu.... Nie wiedziała jak zaszła do domu. Upadła na kanapę i chciała jeszcze raz pomyśleć o tem wszystkiem... Ale dziwny uczuła w sobie spokój, spokój taki, jaki zazwyczaj daje pustka bezmierna. Miała wrażenie jakby była pustem drewnianem pudełkiem, chciała czuć i czucia z siebie wydobyć nie mogła. Dziwna nią owładnęła apatya i jakaś obojętność na wszystko. Czuła tylko jedno — spokój i pustkę śmierci za życia.

Zaczęła powoli wracać do równowagi i uświadomiła sobie swój stan dziwny brakiem czegoś, co dla niej było wszystkiem, było jej życiem... Prawda... odebrano ją sztuce. Oderwano ją od łona tej, którą umiłowała nad wszystko. Cóż jej po takim życiu... I to Stefka... ta Stefka, co jedyną jej była w tych ciężkich chwilach podporą, jedyną jej ucieczką... Nie mogła płakać nawet, ukryła tylko główkę w poduszce i leżała jak martwa: miała wrażenie, ze gdzieś spada wciąż niżej i niżej i dziwiła się, że to trwa tak długo... i pytała się sama siebie, po co się tak rozbijała wysoko, a teraz taką długą przestrzeń na dół przebywać musi, to ją tak bardzo męczy... ach kiedyż nareszcie spadnie, to chyba wieczność... a ta droga taka ciemna, taka ponura i naokoło jakaś cisza złowroga, tak że nawet nie słychać szelestu, jakiby powinno wywołać spadające jej ciało... Gdzie ona leci... ach... żeby otworzyć oczy i spojrzeć. Siliła się to zrobić, ale napróżno... i znów po chwili wytężyła wszystkie swe siły i odemknęła powieki. Leżała w łóżku, więc ją położono i nie czuła tego wcale... spała tak długo... była zmordowana bardzo. Już była czwarta po południu. Julce nie pozwolono wstawać, ażeby zupełnie wypoczęła, ale ona przecież musi się jeszcze zobaczyć ze Stefką, która dziś o piątej odjeżdża. I wstała, jakby weselsza... ten orzeźwiająco wpłynął na nią, tylko jakieś okruszyny smutku błąkały się na dnie jej serduszka. W domu zapanowała radość, że Julka dała się namówić do pozostania w domu i dziękowano doktorowi, jak dobroczyńcy, bo jego to było dziełem. On to w przeddzień wyjazdu był u rodziców Stefki i nagadawszy Stefce komplementów począł przekpiwać sobie ze zdolności Julii, a gdy Stefka stawała w jej obronie, wytłomaczył jej to, co ona brała za objawy talentu twórczego, silnem rozdenerwowaniem i rozegzaltowaniem, wreszcie dziecinnemi go nazwał zachciankami i namówił Stefkę, że poszła do Julki i odwiodła ją od jej za-

mysłów. A doktór zacierał ręce jakby cieszył się z tego, że przełamał upór kobiety, że zgnębił to, co czuł, że wyższem było od niego. — Jeszcze nie było piątej, gdy Stefka zajechała przed dom, gdzie mieszkali rodzice Julki, aby się poraz ostatni z nimi pożegnać. Wpadła tylko na pięć minut, bo spieszyć się musiała do kolei. Uścisnęła Julkę serdecznie i spojrzała jej w oczy ze łzami, a Julka wyczytała w jej spojrzeniu, jakby niemą prośbę o przebaczenie.... Ale nie zdołała tego wrażenia w sobie uświadomić, gdy już Stefka biegła po schodach na dół i w chwilę potem wsiadła do karety. Z okna przesłała jeszcze Julce ręką pocałunek i znikła w zapadającym zmierzchu wieczora.

I na raz Julka uczuła jak niewinnie ją posądziła i chciała ją znów zawołać, jak wczoraj, po imieniu i znów jej zamarł głos w piersi. Tak serdecznie chciała przeprosić Stefkę... uścisnąć ją.... wycałować, za ten zimny uścisk ręki, jakim ją wczoraj żegnała. Uczuła w sobie wyrzut wielki i goniła Stefkę w myśli i przesyłała za nią niemą prośbę.... przesyłała jej życzenia najlepsze... spełnienia tych wszystkich marzeń, o jakich Julka nigdy niemiała już prawa śnić nawet. Skończyło się.... A Stefka już ztąd coraz dalej i dalej.... biedna, pojechała z żalem do niej, do tej Julki.... co ją tak bardzo kochała. Czemże jej teraz tej miłości dla niej dowiedzie.... i wpatrywała się w przestrzeń przez zamokniętą od nieustannego deszczu szybę, przyciskała do niej rozpalone czoło... ale widziała tylko deszcz i słyszała monotonny plusk jego po bruku ulicy. Wsparła ręce na framudze okna, ujęła silnie główkę w dłonie i siedziała tak nieruchomie długo, tak długo, aż się ściemniło zupełnie....

— Wstała szybko od okna i usiadła przy fortepianie, z domu wyszli wszyscy. Była sama. Uderzyła akord jeden i drugi i znów opuściła ręce i główkę skłoniła na piersi smutnie jakby ją coś gniotło do ziemi. I wybiegły same drobne jej paluszki na klawiaturę i błądzić zaczęły po niej, jakby goniły się wzajemnie. W tym niezdecydowanem błąkaniu się, w tych przytłumionych passażach i akordach niewyraźnych było coś, jakby szukanie drogi, od czasu do czasu z tych drżących tonów wydobywał się jeden szerszy i pełniejszy i górował nad innymi i zdawał się wyprowadzać tamte z tego dziwnego pomięszania i chaosu. Akordy stawały się coraz to więcej harmonijne, passaże nabierały wyrazistości i szybko jedne zmieniały drugie, jakby goniły jakąś masę, która im zbiedz chciała: wreszcie z tych rozerwanych i niespokojnych taktów wypłynęła melodya wspaniała, pełna, szeroka, jak myśl ludzka bujna.... płynęła dziwnie równo i spokojnie. A było w tym spokoju coś tak szlachetnego, taka głębia uczucia, że Julka sama upojona melodyą, co bezwiednie z pod jej paluszków płynęła, zapomniała o świecie całym, zapomniała o swoim bólu... zapomniała o Lipsku.... o Stefce.... o wszystkich. Porwała ją ta giętkość linii po której płynęła kompozycya, porwała ją jej czystość i potęga harmonii. I szła za tą przewodniczką, co ją niewidzialna ciągnęła za sobą, szła wciąż naprzód i naprzód zapatrzona w dal, jakby tam upatrywała tych, co ją do grona przez siebie wybranych powołali. Nie widziała już nic naokoło siebie, nie czuła nawet swojej istoty, wyła w tej chwili tylko duszą swoją. Tak rozmarzoną zastał ją doktór; wszedł cicho do pokoju Julki nie zauważony przez nią i stanął przy drzwiach. Czuł w tej melodyi taką bezmierną tęsknotę, taką skargę wielką, że nie śmiał jej przerywać, i usunął się dalej w kąt, by go Julka nie zauważyła w pokoju. Ale ona nie widziała go wcale, bo w tej chwili nie widziała nikogo. Miała oczy szeroko rozwarte, ale patrzyła w siebie, patrzyła do swej duszy. I musiała tam ujrzeć coś, co ją wyrwało z tej zadumy, bo naraz uderzyła silnie w fortepian raz, drugi i trzeci, że aż zadrżał cały i struny zadzwoniły w nim tęsknie jak wiatr jesienny po drzewach. Zaczęła się teraz jakaś walka tonów, jedne goniły drugie i walczyły z sobą o pierwszeństwo i przewracały się i miażdżyły wzajemnie i kłębiły się jak chmury podczas huraganu z hukiem i wrzaskiem; czasami cichło wszystko i wśród tej ciszy wypływała znów ta rzewna melodya, jakby modlitwa, jakby prośba jakaś niewysłuchana, jakiś żal niespełnionych marzeń.... dziwna jakaś rozpacz cicha i bezsilna.... było w tem jakby tłumione łkanie, które zbierało się w piersi, ażeby wreszcie wybuchnąć tak silnie, ażby tę skargę usłyszał świat cały.... — doktór czuł to, że taki wybuch nastąpi i bał go się i przysiadł aż na ziemi, bo nogi pod nim drżeć poczęły, a nie śmiał posunąć się do kanapy, bał się każdego ruchu. Czar muzyki przykuł go do miejsca, odczuł tę skargę Julki, czuł że on ją tylko pojąć mógł w tej chwili, i zrozumiał ten wyrzut rzucony mu w twarz i uląkł się Julki i przytulił się w kącie do pieca, jakby cały chciał się zań wcisnąć — przerażał go jego postępek. Słyszał w tej muzyce tyle rozpaczy.... bał się katastrofy, a nie śmiał przerwać Julce, bo ją pierwszy raz słyszał tak grającą. Dotąd nie wiedział nawet, co to jest wyraz w muzyce. Nie przypuszczał, że przez sztukę tak dziwnie i tak silnie mówić można. Był cały w upojeniu. W tym jakimś niecierpliwym oczekiwaniu końca.... w tym żalu i strachu naprzemian czuł jakąś rozkosz dziwną. Czuł się w tej chwili lepszym, a jednak tak nędznym, tak brudnym przy tej czystej duszyczce Julki, że miotało nim coś jak w gorączce. Szukał oparcia przy piecu..... dreszcz przebiegał po nim i zębami dzwonić począł i zaciskał pięści jakby w tym skurczu rąk zatrzymać chciał bieg myśli, co go tak opanowały, że tylko czuł się jak w jakiejś gęstej mgle, której przeniknąć nie mógł, silił się ją przebić wzrokiem i nie mógł tego dokonać i czuł swoją bezsilność i szamotał się z nią, aż zrozumiał, że jest zwyciężony. — Księżyc wszedł już wysoko i zajrzał przez okno, rzucając blady promień światła na postać Julki. Główka jej na jasnym tle kręgu księżyca wyglądała jak główka cherubina. Profil jej na tarczy księżyca rysował się delikatnie, jak melodya cicha, którą grała. Usta miała rozchylone, jakby cichą szeptała modlitwę uwielbienia, a nozdrza rozwarte i grzywkę rozwianą, jak koń, co ostatnich sił dobywa dobiegając mety.

I przebudziło ją znów światło księżyca. Zdawało się jej, że ten smutny latarnik zajrzał tu jakby zapytać chciał czemu się tak skarży, a ona czy spostrzegła w nim to współczucie, bo drgnęła cała na krześle, podrzuciło nią coś silnie i całą siłą swych drobnych piąstek uderzyła znów w klawisze. Już zanikła teraz ta cicha melodja skargi. Zginęła w tej powodzi akordów silnych i ponurych, teraz był to jakiś wyrzut potężny, rzucony niewidzialnej sile, tej sile co ją przełamać chciała... Ale ona poczuła się cząstką tej potęgi, poczuła swoje prawa do szczęścia i rzuciła się do niej z wyrzutem i rozpaczą. I brzmiał teraz fortepian dobitnie i dźwięcznie, to już nie była giętka i ciągła melodya, ale jakieś tony staccato rwane i silne, aż wreszcie fortepian huczeć począł jak grom, kiedy po przeciągłej błyskawicy z suchym uderzy trzaskiem;... aż jęknęły struny i i kilka razy brzękło coś straszliwie w klawiaturze, jakby tam ktoś krzyczał z bólu... — doktór wcisnął się więcej jeszcze w kąt pokoju i czuł, że go te tony owijają całego jak wstęgą. Czuł, jak mu krępowały nogi, pierś, ręce, wreszcie głowę i już mu przesłoniły oczy i zawijały się jeszcze gdzieś wysoko nad nim, a za tą pierwszą ich partyą z szybkością błyskawicy szły drugie i trzecie, dalej i dalej i podwójną okręcały go siecią, miał wrażenie jakby mu coś pierś gniotło, chciał krzyczeć i nie mógł wydobyć głosu... Wszystko naraz przed nim wirować zaczęło, czuł jak go miażdżyła ta fala tonów... jak go ich pasma krępowały coraz to szybciej i szybciej i słyszał złowrogi świst, jaki wydawały przy tym krążeniu w koło i czuł jak się te obręcze ścieśniały coraz bardziej i szła ich taka moc, taka moc, że rozpierały ściany pokoju... aż nareszcie usłyszał huk potężny, a po nim okrzyk silny i urwany... Czuł jak rozluźniały się koła, co go krępowały jeszcze przed chwilą. Otworzył oczy szeroko i ujrzał Julkę leżącą na ziemi. Podrzucało nią coś jak piłką i jęczała biedaczka za każdym upadkiem. Doktór chciał powstać, chciał biedz ku niej, ale jeszcze oczom swoim nie wierzył, był na wpół przytomny i patrzał na to wszystko, jak na zjawisko dziwne, które potęgowały jeszcze promienie księżyca, padające na Julkę, a którego wejścia on nie zauważył, aż nareszcie rozwidniło się w pokoju i weszła matka Julki ze świecą w ręku. To oprzytomniło doktora. Powstał i podszedł chwiejnym krokiem do Julki. Wzięli ją oboje pod ręce i wnieśli do przyległego pokoju. Ro-



Kazanie Sk

zebrano ją i położono do łóżka. Długo nie mogła do przytomności wrócić. Nareszcie udało się ją ocucić. Doktór skonstatował silne zapalenie mózgu, graniczące z obłędem w połączeniu z atakiem sercowym... i wyszedł, nie pozostawiwszy żadnej nadziei wyzdrowienia....

Julka otworzyła oczy szeroko, jakby zdziwiona tem, co się tu działo. Ujrzała obojga staruszków swoich siedzących obok niej przy łóżku i zadziwiła ją ta cisza jaka panowała w pokoju. Przetarła oczy i zatoczyła główką do koła... Po co ją położyli do łóżka — zapytała jej się matka, czy się czuje lepiej, a ona znów zdziwiła się tem zapytaniem matki i wyszeptała, że jej nic przecież nie jest, tylko ją strasznie głowa boli. Tak dużo dziś grała. Jutro ma składać egzamin przed komisyą. Stefka była u niej i wyszła gdzieś na miasto, a ona się jej jeszcze chciała poradzić, bo taką ma tremę straszną. I tak się bardzo czuje szczęśliwą, choć ją zmęczyła muzyka, ale to przejdzie, a ona musi sobie jutro zasłużyć na pochwałę. Stefka zapewniła ją, że będzie przyjęta z pewnością. Ale gdzież ona jest, Stefka, tak długo siedzi w mieście, zamiast cieszyć się z nią razem, cieszyć się z przyjazdu jej staruszków. Zrobili jej taką przyjemność wielką. Ona ich się nawet nie spodziewała wcale, a tem więcej nie spodziewała tak wcześnie... właśnie miała do nich list napisać, ale ją głowa bolała więc położyła się do łóżka, a tu taka niespodzianka... ale jak ona ich przyjmuje. W łóżku, takich gości, przecież trzeba im usłużyć,.. Stefki nie ma, a ona się nie umie jeszcze rozmówić po niemiecku. — Wyskoczyła z łóżka i zaczęła tańczyć i skakać po pokoju klaszcząc w dłonie i śmiała się strasznie z tego, że ich przyjmuje w koszuli, takich wielkich, takich kochanych, takich królewskich gości... I pobiegła znowu ku nim ku staruszkom swoim kochanym i matkę po rękach całować zaczęła i rzuciła się ojcu na szyję i gładziła po siwej głowie i dziwiła się łzom, co strugami płynęły po twarzach rodziców. Bo czegóż oni płaczą, kiedy powinni się cieszyć z nią razem; ona taka bardzo szczęśliwa, tylko ją głowa bardzo boli. Pozwoliła się wziąść na ręce i odnieść znów do łóżka i kazała im przysiąść koło siebie, bo chciała im o swoich opowiedzieć tryumfach... Zmęczona jest bardzo, bo grała dzisiejszego wieczoru w Gewandhauzie lipskim. Grała tak dużo, że już upadała prawie ze zmęczenia i czuła potem jak palce jej podnosiły się same, że ona śpiewała tylko w duszy, a jakaś niewidzialna siła kierowała jej rękę.

I nie słyszała braw żadnych, tylko cichy szum skrzydeł, a za nią stały nieprzejrzane chóry aniołów i śpiewały pieśń piękną i wzniosłą, a ona im wtórowała do tej pieśni. I aniołowie chłodzili skrzydłami jej rozpaloną głowę i śpiewali z nią wciąż dalej i dalej... czuła, że ją gdzieś niesiono potem wysoko, bardzo wysoko, tam, gdzie było tak bardzo jasno, że przed tym blaskiem oczy zamykać musiała... I tak jej było dobrze... żałowała tylko, że tam nie widziała swoich staruszków. Byłaby im odstąpiła całe swoje szczęście. Dlaczego tam nikt nie przyszedł jej słuchać... Ach, prawda był przecież doktór... Tak, był... ale jakiś inny jak zawsze... jakiś dziwnie smutny i cichy... Skurczył się jak na wielkim mrozie i zaczął się wsuwać za za piec co stał w rogu sali i wsuwał się powoli, aż się spłaszczył cały zupełnie... i tylko przeglądała z ciemnego kąta jego łysina i wytrzeszczone oczy... Taki był jakiś smutny i śmieszny zarazem... Szkoda, że ich nie było... Ale gdzie Stefka... przecież trzeba się niemi zająć, a ona głowy unieść nie może, taka jakaś ciężka, jakby była z ołowiu... Oni muszą poczekać... a może nic jeszcze nie jedli... Stefka przyjdzie, niech tymczasem usiądą koło niej, ona zaraz wstanie, tylko odpocząć musi, bo jest zmęczona... Ale dlaczego oni wciąż płaczą... Czy im żal, że jej tyle sprawili radości swym przyjazdem. Ona za chwilę odpocznie, to ich rozweseli i wyśmieje ich łzy... Przecież to wstyd tak się mazać, jak małe dzieci... zaraz... ona tylko uśnie na sekundę... bo tak ją strasznie głowa boli. — Przymknęła powieki i zdawała się usypiać. A staruszkowie jej stali nad swoją jedynaczką, zapatrzeni w nią ze łzami i z tłumionym łkaniem w piersi starej; nie śmieli spojrzeć na siebie i nie śmieli słowa przemówić wobec tej tragedji, jaka się przed nimi rozgrywała... bezsilni i bezradni w tej niemej rozpaczy...

Julka otworzyła na chwilę oczy... jakby przytomniej spojrzała na na świat i szybko znów zwarły się jej powieki, a z pod nich jakby nadzwyczajną jakąś pchnięte siłą wytrysnęły dwa długie łez strumienie... I płakała tak krótko, bez skargi głośnej z przymkniętymi oczami... i znów rozjaśniła się jej twarz, rozjaśniła się teraz tym spokojnym światłem jaki mieć chyba mogą anieli... Uśmiechała się coraz wyraźniej... roztuliła usta i szeptała coś cicho... wystąpiły jej na twarz rumieńce, aż od tych rumieńców czoło jej odbijało dziwną jakąś białością i nieziemskim blaskiem...

El.



g i. — *Obraz Jana Matejki.*

Powrót z pod bieguna.

Śladami Andréego udał się w zeszłym roku Luigi, książe Abruzzów, w krainę wiecznego lodu, na okręcie „Stella polare“ (Gwiazda polarna). Wyprawa kierowana przez dostojnego podróżnika wróciła 5 września br. do Tromsö ze swej dalekiej i pełnej niebezpieczeństw podróży, a norwegski kapitan Evensen, który był zarazem t. zw. „lodowym pilotem“ ekspedycyi, opowiada o jej losach co następuje:

„Zeszłego roku dotarliśmy przez Nigthingale-Sound i British-Canal aż do 28 stopni 4 minut na północ, nie znalazłszy tam jednak portu zimowego wróciliśmy do Tafel-Bay, na zachód od ziemi arc. Rudolfa, mniejwięcej pod 81 stopniem 55 minutą szerokości północnej. „Stella Polare“ zamarzła w początkach września, ósmego zaś tegoż miesiąca lody nacisnęły okręt tak gwałtownie, iż został zgnieciony z jednego boku niemal na połowie długości. Przez dziurę w ten sposób powstałą poczęła napływać woda i to tak gwałtownie, iż okręt byłby niechybnie zatonął. Na szczęście nacisk lodowy podniósł statek w górę i osadził na grubym kawale lodu.

Mniejwięcej o 200 metrów od „Stella Polare“, na lądzie, zbudowaliśmy mieszkanie zimowe, złożone z dwóch namiotów po 20 stóp długości, pokrytych trzecim większym; wszystkie trzy znajdowały się znowu pod czwartym, największym, zrobionym z żagli okrętowych. Pomiędzy dwoma wewnętrznymi namiotami, stał najlepszy przyjaciel podróżnika w biegunowych okolicach, — piec, tak urządzony, iż mógł służyć zarówno do opalania jak i do gotowania. Każdy członek wyprawy otrzymał łóżko wraz z workiem do spania, zrobionym z wilczej skóry. W osobnej stajni zbudowanej z drzewa mieściło się 120 psów, a główną i codzienną pracą w zimie, było wygrzebywanie psów ze śniegu, leżącego więcej niż na metr wysoko, oraz umożliwianie dostępu do namiotów.

Boże Narodzenie obchodziliśmy nader uroczyście w pięknym i podniosłym nastroju; każdemu dostał się jakiś podarek. Dzień Nowego Roku został uczczony spaleniem wspaniałych ogni sztucznych. Tymczasem stan zdrowotny wyprawy począł zwolna ulegać niekorzystnym zmianom. Podczas świąt przedsiębraliśmy próbną jazdę sankami, która była fatalną dla księcia, gdyż odmroził sobie wtedy dwa palce u lewej ręki i to tak nieszczęśliwie, że końce ich musiały uledz amputacyi. Od tej chwili, zdrowie jego i olbrzymia do tej pory odporność na zimno popsuły się tak, że kilka miesięcy musiał pozostawać w namiocie. Mimo to czynił ustawiczne przygotowania do wyprawy na sankach, która wyruszyła w drogę w połowie lutego. Straszne, do 52 stopni Celsiusza dochodzące zimno i niepraktyczne ułożenie prowiantów na saniach, zmusiło wyprawę do powrotu, a powtórna wyszła z okrętu dopiero 11 marca w sile 10 ludzi, zaopatrzonych w sanie i dużą ilość psów. Po dziesięciu dniach marszu, część wyprawy składająca się z trzech ludzi, porucznika marynarki włoskiej Guariniego, alpejskiego przewodnika Uliego i maszynisty Stöcksena, Norwegczyka, odłączyła się z zamiarem powrotu na statek. Los tych nieszczęśliwych pozostał tajemnicą; prawdopodobną jest rzeczą, iż zginęli w zamieci śnieżnej, lub znaleźli zgon w szczelinach pękającego lodu.

Druga część wyprawy, w sile również trzech ludzi pod kierownictwem lekarza okrętowego zdołała, po 20 dniowym pochodzie, wyjść aż poza 83 stopień szero-

rokości północnej, skąd udała się w drogę powrotną ku „Stella Polare“. Ten oddział miał ze sobą dwoje sani i 16 psów.

W trzecim oddziele, pod dowództwem kapitana Cagni było dwóch przewodników alpejskich i jeden młody majtek z włoskiej marynarki.

Mimo przeszkód, piętrzących się na każdym niemal kroku, dotarli ci odważni ludzie aż do 86 stopnia 33 minuty szerokości północnej i tylko brak żywności zmusił ich do odwrotu. Lody, po których posuwali się naprzód nieustraszeni podróżnicy, zostały przez prąd morski uniesione na zachód, tak, że wyprawa dostała się na wyspę Omaney leżącą w południowo-zachodniej stronie. Po piętnastodniowym marszu dotarli nasi towarzysze do Tafel-Bay, przepędziwszy w drodze ogółem 15 dni. Wyszli z 6 saniami ciągnionymi przez 45 psów, za powrotem mieli tylko siedem psów i dwoje sanek, a w drodze z wyspy Omaney do statku jedynem ich pożywieniem było psie mięso.

16 sierpnia po uwolnieniu się z więzów lodowych okręt był gotów do drogi, więc złożywszy w Tafel-Bay zapas żywności — mogący wystarczyć mniejwięcej na 2 lata, ruszyliśmy z powrotem.

W jeden dzień posunęła się „Stella Polare“ na południe aż do wyspy Eaton, a po 16 dniowej ciężkiej walce z lodami, znaleźliśmy się o kilka mil na wschód od przylądka Flory. Łowca psów morskich Capelt złożył tam jeszcze 12 lipca listy dla nas, wśród których były też życzenia przesłane wyprawie przez króla Humberta. Po pięciogodzinnem zatrzymaniu się ruszyliśmy w drogę ku Hammerfest. W pobliżu tego portu spotkał nas okręt „Hertha“, który opuścił przylądek Flora na kilka zaledwie dni przed naszem tam przybyciem. Na pokładzie jego znajdowało się dwóch Włochów, hr. Tarsis i Emilio Silvestri i od nich dowiedział się książe Abruzzów o zamordowaniu króla Humberta“.

Jak widać z powyższego opowiadania, wyprawa księcia Abruzzów posunęła się na północ o 19 minut dalej, jak to uczynił Frithjof Nansen, nie ulega też żadnej wątpliwości, iż materyał naukowy zebrany przez odważnych żeglarzy będzie się nader pokaźnie przedstawiał. Mimo to powrót „Stella Polare“ pod jedynym względem zawiódł oczekiwanie wszystkich, gdyż o losach Andréego i jego dzielnych towarzyszy żadnej nie ma wiadomości.

Dotąd łudzono się nadzieją, iż okręt księcia Abruzzów przywiezie ze sobą jeżeli nie samego Andréego to przynajmniej jakieś pozytywne o nim doniesienie; w obec powrotu „Gwiazdy polarnej“ nadzieja ta upadła ze szczętem, a miejsce jej zajęła pewność, iż Andrée, Strindberg i Fränkel znaleźli zgon pośród lodów, okalających niedostępnym wałem tajemnicze obszary podbiegunowego kraju...

List ze Lwowa.

Lwów 11. września.

(En) Lwów posmutniał... Stanowczo tak jest... Od niedzieli, kiedy teatr skarbkowski „odstawił“ po 58 letniem istnieniu swe „ostatnie przedstawienie“, ludek lwowski pozostawiony bez teatru, wieczorami miejsca sobie znaleść nie może. Z rozpaczy zapełnia „Coloseum“ żyda Thorna i krzykliwy jarmarczny „cyrk amerykański“ przy cuchnącym wstrętnie placu Słonecznym.

Mieliśmy mieć teatrzyk Rozmaitości przy ulicy Jagiellońskiej. Ale odkąd tam żyd Schlafenberg umoczył swą rękę (wprosił się na dyrektora drugiego) cała ta dotąd sympatycznie się zapowiadająca „buda“ wzięła w łeb. Gaży nie popłacono, nie uregulowano rachunku z właścicielem sali i „teatr“ rozleciał się w najkompletniejszem tego słowa znaczeniu. Sprowadzona aż z Krakowa pani Karska nawet nie rozpakowawszy się dobrze, wróciła czemprędzej, skąd przybyła, panie Matkowską, Jachimowską i inne poangażował Myszkowski do Kalisza, tenor bohaterski Orzelski machnął tylko ręką i drapnąwszy, oparł się aż w Lublanie, gdzie dostał emgagenent, pozostała zaś tu (mniej wybredna) część personalu smutnie tylko załamuje ręce i z rozpaczy postanawia grać „póki się da“ na własny rachunek. Nad tem wszystkiem usiadł z beznadziejnie pochyloną głową kupiec korzenny z pasażu Hausmana p. Gliński, i jako Jeremiasz nad zburzoną wzdychając Jerozolimą rozpamiętuje swe 500 fl., które utopił w tym „zatraconym komedyanckim interesie“ po to chyba, aby je zlikwidować gdzieś na dolinie Jozafata.

Faktem w rezultacie jest, że odkąd teatr w gmachu Skarbka wyrzekł swe ostatnie słowo, Lwów musi się obywać bez Thalii i Melpomeny. Więc też żegnał ją ostatniej niedzieli z okrutną żałością. Ostatni zwłaszcza okres egzystencyi skarbkowskiego teatru zapisał się w jego dziejach wcale chlubnie. Takiej nadludzkiej energii i ruchliwości jak ta, którą rozwijał dyrektor Heller, aby utrzymać lwowski teatr na wyżynie pierwszorzędnej, ze świecą szukać w naszem apatycznem, zdenerwowanem społeczeństwie. Jesteśmy tu wszyscy przekonani, że nowa dyrekcya, która zabłyśnie z początku sztucznym blichtrem skończy tak samo jak w Krakowie: moralnem fiaskiem i materyalnem bankructwem. Nie tracimy nadziei, że Ludwik Heller powróci jeszcze do Lwowa, do publiczności, z którą się zrósł i do miasta, które mu zawdzięcza podniesienie sceny z ostatecznego upadku, w jakim się za dyrekcyi pp. Szydłowskich znalazła. Owacye ostatniego przestawienia w lwiej części należą się też przedewszystkiem p. Hellerowi. Oczywiście zasługa p. Hellera rozkłada się także na tych, którzy z nim pracowali. W dramacie takim filarem sceny był Chmieliński (sylwetkę i portret Chmielińskiego podamy w jednym z następnych numerów), w operze przedewszystkiem niestrudzony dyr. Jarecki, któremu Lwów muzykalny słusznie mógłby pomnik postawić, oraz równie obdarzona przedziwną urodą jak czarującym głosem, idąca ku wspaniałej przyszłości śpiewaczka Irena Bohuss. Jak będzie wyglądała opera lwowska bez Jareckiego i bez Bohussównej nie wiemy. (Portrety dyrektorów Hellera i Jareckiego oraz panny Ireny Bohuss podajemy w dzisiejszym numerze.)



Dyrektor Heller.



Henryk Jarecki.

Wypada niezmiernie żałować, że na pożegnalnem przedstawieniu nie wykonano wbrew zapowiedzi, epilogu, jaki Lucyan Rydel miał umyślnie napisać i że zamiast tworu natchnienia znakomitego poety wystarczyć musiało „ostatnie słowo“ do publiczności wypowiedziane przez reżysera p. Walewskiego. Ceremonia pożegnalna, aranżowana przez Koło literacko-art. na cześć całego personalu teatru skarbkowskiego również niezupełnie dopisała. Były salony wspaniale udekorowane, byli gospodarze, uroczysty program rautu, tylko brakło artystów a już kompletnie artystek. Powodów tego nikt dotąd nie zanotował wyraźnie w prasie, a było ich aż dwa. Artystki czuły się obrażone, z powodu, iż niektóre nie dostały zaproszeń (podobno jedna z pań wpływowych w Kole cenzurowała zaproszenia) na ogół zaś rozpuszczono odstraszającą pogłoskę, że wydany raut będzie do pewnego stopnia pożegnaniem owacyjnem działalności dyrektorskiej p. Hellera, więc też większa część aktorów nie przyszła jakby nie chcąc się narazić nowemu władcy i panu, zwłaszcza gdy się dowiedziała, że Majestat pana Pawlikowskiego na raut ze swym dworem nie przybędzie. Taki był łabędzi śpiew Thalii i Melpomeny w gmachu skarbkowskim.



Irena Bohussówna.

A tymczasem nowy dla tych rozkosznych dwu Muz pałac wykończa się w sąsiedztwie z całym możliwym pospiechem, na jaki stać kierownictwo budowy i wyższe jego przełożeństwo tj. sekcję budowniczo-teatralną.

Ze świata panujących.

W rzędzie panujących obecnie książąt figurują trzy kobiece postaci: hiszpańska królowa — rejentka Krystyna, która w dniu pełnoletności syna Alfonsa XIII w jego ręce złoży rządy; królowa angielska Wiktorya, która już przez lat 30 dzierży berło w ręku; wreszcie jasna „Ons Wilhelminje“ holandzka, która objęła tron dopiero przed dwoma laty. Dzień 31. sierpnia 1898, w którym królowa wkładała koronę na swoje młode skronie, był jednem wielkiem świętem w Holandyi; brał w niem udział nie tylko lud holandzki, ale nawet indyjscy książęta, pozostający pod zwierzchnictwem Niderlandów. Cesarze z Solo i z Kutei (Borneo) wysłali poselstwo do Europy, a sułtan Siaku (Sumatry) sam przybył na koronacyę z całą pompą indyjskiego kacyka, uważającego siebie za następcę proroka. Pochodzi on ze znakomitego arabskiego rodu Bin Sjihab, jest on potomkiem w prostej linii Ali bin Ithmana, który z końcem XVIII w. zajął tron w Siaku. Rodzina Bin Sjihab ma dziedziczny tytuł Sajjid, który ma oznaczać pochodzenie rodu od Kalifa Ali i Fatymy córki Proroka.

Upłynęły od tego dnia już dwa lata; młoda królowa rozumie, że węzeł jaki ją łączy od dnia jej koronacyi z ludem holandzkim, winien się stać jeszcze silniejszym i trwalszym. Jej naturalność, szczerość i ciepło w obejściu, nadzwyczajna dobroć i wspaniałomyślność zjednały jej serca poddanych. Holandczycy wystrzegali się w czasie objęcia tronu przez królową Wilhelminę używać wyrazu „koronacya“ twierdząc, że nikt nie ma prawa koronować królowej, która ma do korony prawo już na mocy swego urodzenia; mowiono więc, że ona tylko składa przysięgę na konstytucyę. Wielu książąt ubiegało się w ciągu ostatnich dwu lat o rękę królowej holandzkiej, ale „Ons Wilhelminje“ dotąd nie okazała jeszcze żadnej ochoty do stanu małżeńskiego. Matka królowej Wilhelminy pochodzi z książęcego domu Waldeck-Pyrmont i jest starszą siostrą panującego obecnie księcia Waldeck. Mając lat 21 wyszła księżniczka Emma za króla niderlandzkiego Wilhelma; dnia 31 sierpnia 1880 urodziła im się księżniczka Wilhelmina, obecna królowa. Królowa Emma była już drugą małżonką 62-letniego króla holandzkiego. Pierwszy raz był król Wilhelm ożeniony z księżniczką Würtemberską Zofią. Po śmierci króla Wilhelma 1890 r. królowa Emma objęła rejencyę na czas małoletności córki, podczas gdy w W. Ks. Luksemburskiem objął rządy książę Nassauski, ponieważ tamże sukcessya kobiet nie jest uznana.



Król Alfons XIII.

W tym samym dniu, kiedy holandzka królowa święciła dwudziestą rocznicę swoich urodzin, sułtan Abdul Hamid II. obchodził 25-letni jubileusz swojego panowania. Takiego święta nie zna dotąd rodzina Osmanów. Interesującem jest życie towarzyskie w pałacu nad Bosforem. O jakiemś życiu dworskiem w ścisłem tego słowa znaczeniu nawet mowy niema, wobec tego, że sułtan jest od świata zupełnie odosobniony; książęta starają się unikać swego suwerena, gdy widzą u niego choćby cień nieufności, a kobiety są trzymane w haremach. Yildiz-Kiosk leży o $\frac{1}{2}$ godziny drogi od Konstantynopolu; prowadzi do niego wspaniała ulica. Yildiz stanowi kompleks pałaców i rozpada się na dwie części, z których jedna stanowi

właściwą rezydencyę sułtana, wraz z haremem. Wstęp do tej części mają tylko wyjątkowo zagraniczni posłowie lub inne wybitne osobistości. W niepokaźnym domku obok bramy haremu rezyduje znienawidzony przez Młodoturków i Armeńczyków ulubieniec sułtana Izzet-Bey, mający na dworze sułtańskim ogromny wpływ. Osobę Abdul Hamida otacza cały szereg podkomorzych, lekarzy, sekretarzy, podczaszych i krajczych. Urząd tych ostatnich jest najbardziej odpowiedzialny, bo ich obowiązkiem jest kosztować wszelkie potrawy i trunki, wnoszone na stół sułtański, celem stwierdzenia, czy nie są zatrute. Podobnie, jak szach perski, posyła sułtan resztki obiadu swoim ministrom.



Królowa Wiktorya.

Z pośród ośmiorga dzieci największą miłością sułtana cieszy się książę Burhan eddin, który okazał wielkie zdolności w muzyce i sułtan łoży na jego kształcenie w tym kierunku. Kiedy w ostatnich czasach podczas przyjęcia w Yildiz-Kiosku książę Burhan eddin w towarzystwie radcy legacyjnego Wangenheima wykonał kilka utworów na fortepian, sułtan tak się tem wzruszył, że



Sułtan Abdul Hamid.

radzcy Wangenheimowi nadał order „litteris et artibus“. Także i trzeci syn Abdul Hamida posiada wybitne zdolności artystyczne, gdyż dwa obrazy, wręczone przez sułtana w upominku cesarzowi Wilhelmowi na ręce niemieckiego ambasadora w Konstantynopolu, są utworem pendzla dwudziestodwuletniego syna sułtana Achmeda-Effendi.

Grubas i chudeusz.

Przez Antoniego Czechowa.

Na dworcu kolei mikołajewskiej w Moskwie spotkało się dwóch znajomych; jeden z nich był tłusty, drugi chudy. Grubas pożywił się właśnie w restauracyi kolejowej, i wydatne jego wargi lśniły nakształt dojrzałych czereśni. Pachniał od niego Xeres i Fleurs d'Oranges. Chudy wysiadł właśnie z wagonu i szedł ku wyjściu, dźwigając kufry, pudełka i koszyki którymi był obładowany. Pachniała odeń szynka i kawa z cykoryą. Z za pleców wyglądała mu chuda kobieta o długim podbródku — jego żona i wysoki gimnazyalista z napół zmrużonymi oczyma — jego syn.

— „Porfiry“! zawołał grubas ujrzawszy chudego człowieka. „Czyś to ty naprawdę? Stary druhu! Jak długośmy się nie widzieli“!

„Boże!“ wyjąkał chudy. „Misza! Drogi przyjacielu! Skąd się tu wziąłeś?“

Przyjaciele ucałowali się trzykrotnie, spoglądając na siebie błyszczącymi od łez oczyma. Obu widać mile dotknęło niespodziane spotkanie.

„Mój drogi!“ zaczął chudy po przywitaniu, „ktoby się spodziewał, No! dajże mi się oglądnąć! Takisam z ciebie, tęgi chłop jak ongi! zawsze szykowny i elegancki! No, no, mój Boże! Jakżeż ci się powodzi? Zrobiłeś pieniądze? Ożeniłeś się? Ja już, jak widzisz! Oto moja żona, Ludwika, z domu Wanzenbach,.. luteranka... A to mój syn, Nataniel, uczeń piątej klasy. Popatrz się Natanielu, to mój przyjaciel! Siedzieliśmy na jednej ławce!“

Nataniel zrobił zamyśloną minę i zdjął czapkę z głowy.

Siedzieliśmy na jednej ławce“ ciągnął dalej chudy, „pamiętasz jakeśmy cię nabierali? Nazywano cię Herostratem, boś raz wypalił papierosem dziurę w dzienniku klasowym, a ja byłem Ephialtesem bom lubił fagasować! Tak tak! Co z nas były za łobuzy! Natanielu nie bądź że tak nieśmiały! Chodź bliżej.... A to — to moja żona, z domu Wanzenbach — luterskiego wyznania....“

Nataniel powtórnie zrobił zamyśloną minę i schował się za plecy ojca.

„A jakżeż ci zresztą idzie mój stary?“ zawołał grubas przypatrując sie przyjacielowi z zachwytem. „Masz dobrą posadę? Co? Doszedłeś już do „czynu“ do godności?“

„Ujdzie, ujdzie mój drogi! Od dwóch lat jestem assesorem kolegialnym, mam już order św. Stanisława. Pensya nieduża... no, nic nie szkodzi! Moja żona udziela muzyki, a ja w wolnych chwilach toczę pudełka do cygar. Wspaniałe, powiadam ci! Za sztukę biorę po rublu. Kto zamówi dziesięć lub więcej odrazu, dostaje rabat, rozumiesz. Z początku służyłem w departamencie a teraz przeniesiono mnie tutaj na sekretarza, tu będę mieszkał. No, a cóż ty porabiasz? Jesteś już radcą stanu,... co?

„Nie, mój drogi, sięgnij trochę wyżej“ rzekł grubas, „jestem już rzeczywistym tajnym radcą... A na piersiach dwie gwiazdy...“

Chudy nagle zbladł i zdrętwiał. Potem twarz jego wykrzywiła się w nieskończenie szeroki uśmiech, zdawało się, iż z całej twarzy i z oczu poszły iskry. Zrobił się mały, przygarbiony, przygnieciony. Nawet kufry i paczki zmalały i skurczyły się widocznie. Długi podbródek żony stał się jeszcze dłuższym, Nataniel wyprostował się jak świeca i zapiął mundurek.

„Ja, Wasze Prewoschoditielstwo.... Jakżeż to dla mnie pochlebne! Mój przyjaciel, za pozwoleniem Waszej Excelencyi, i wzniósł się tak wysoko... Hihihi!“

„Ach, dajże pokój“ rzekł gruby, marszcząc czoło „dajże pokój z tym tonem! Jesteśmy kolegami, skądże taka uniżoność?“

„Ależ niech Wasze Prewoschoditielstwo pozwoli... jakżeż to?“ chichotał chudy, malejąc jeszcze bardziej, „łaskawa dobroć Waszej Excelencyi... jak zdrój ożywczy... To, Excelencyo jest moja żona, z domu Wanzenbach, luterańskiego wyznania.... mój syn Nataniel...“

Gruby chciał jeszcze coś odpowiedzieć, ale twarz chudego nosiła na sobie piętno takiego poważania, tak słodko-kwaśnego uszanowania, że rzeczywistemu tajnemu radcy zrobiło się niedobrze. Odwrócił się, podając chudemu rękę na pożegnanie.

Chudy pochwycił skwapliwie trzy palce i uścisnął je z należnym szacunkiem. Potem, zgiąwszy w pałąk cały korpus zachichotał jak Chińczyk: Hihihi! Żona jego uśmiechnęła się. Nataniel ukłonił się niezgrabnie, wypuszczając zarazem czapkę z rąk na podłogę. Wszyscy troje byli nader mile wzruszeni.

Kronika literacko-artystyczna.

LITERATURA.

* Albert Samain, jeden z najbardziej utalentowanych poetów francuzkich spółczesnej generacyi, zmarł w Magny-les-Hameaux we Francyi.

Albert Samain urodził się w r. 1859 w Lille. Mniejwięcej przed piętnastu laty przybył do Paryża, gdzie niebawem pojawiły się poezye jego w pierwszorzędnych miesięcznikach literackich. Pierwszy tom utworów poetyckich Samaina, zatytułowany *Au Jardin de l'Infante* otrzymał w r. 1898 nagrodę Archon-Desperouses w paryskiej Akademii. Albert Samain pozostawił znaczny zbiór poematów, których wydaniem zajęli się przyjaciele zmarłego.

* Na dzień 24 sierpnia b. r. przypadła pięćdziesięcioletnia rocznica śmierci znakomitego niemieckiego poety Mikołaja Lenau'a. Nimbsch Edler von Strehlenau (tak brzmiało właściwe jego nazwisko) już jako 17-letni młodzieniec próbował sił na niwie poetyckiej ale dopiero w 1828 roku, po ukończeniu studyów medycyny i prawa, wydał kilka utworów, którymi odrazu zyskał sobie niepośledni rozgłos.

W 1832 roku przesiedlił się do Würtembergu, gdzie też ukazały się 2 tomy jego poezyj w 1832 i 1838 roku. Większe utwory poetyckie Lenau'a, jako to „Faust“, „Savonarola“ i „Albigensi“ ukazały się w 1835, 1837 i 1842 r. Zniechęcony czczem życiem t. zw. cywilizowanej Europy, wyruszył poeta w drogę do Nowego Swiata, kierując się ku brzegom północno-amerykańskim. Widocznie jednak obraz wolnego i swobodnego życia wypieszczony w duchu przez autora „Trzech cyganów“ nie odpowiadał rzeczywistości, gdyż pobyt pod niebem Ameryki nie przeciągnął się zbyt długo. Powróciwszy do Europy mieszkał Lenau na przemiany w Wiedniu, Ischlu oraz Stuttgarcie.

W październiku 1844 popadł w chorobę umysłową, której ślady były już dawniej widoczne, a skutkiem tego było umieszczenie nieszczęśliwego poety w zakładzie Winnenthal, z którego został przeniesiony do Döbling. Tam, przeżywszy 6 lat w ciągłem obłąkaniu, dokonał życia 24 sierpnia 1850 r.

Lenau, wieszcz skrajnego pessymizmu i bezbrzeżnej melancholii zapisał się w pamięci naszej swoimi „Polenlieder“ („Pieśni polskie“) w których z nader sympatycznej strony przedstawia Polaków, oddając w szczególności należny hołd uczestnikom walki o niepodległość w 1831 roku. Jedna z tych pieśni, zaopatrzona w muzykę przez Stehlego bywa w niedołężnem polskiem tłomaczeniu śpiewaną u nas jako „Pieśń nadziei“.

Właściwy tytuł tego utworu brzmi: „Pieśń polska, śpiewana w karczmie, w rocznicę polskiej rewolucyi“.

* Fryderyk Skowronek i Karol Czajkowski wydają niemieckie powieści osnute na tle życia polskiego. Obaj, mimo polskich nazwisk, są Niemcami i podczas gdy pierwszy pisze t. zw. „Dorfgeschichten“, w których przedstawiony jest lud protestancki zamieszkujący Prusy wschodnie, drugi obrał za środowisko swoich utworów Warszawę. Powieści Skowronka odznaczają się barwną i sympatyczną dla naszego społeczeństwa charakterystyką. Czajkowski jest nieco przesadny i nieprawdopodobny, trudno mu wszakże odmówić talentu.

* Pięćdziesięcioletnia rocznica śmierci Balzac'a przypadła na dzień 19 sierpnia r. b. Honoré de Balzac, jeden z najgłośniejszych powieściopisarzy francuskich urodził się w 1799 roku. Karyerę beletrystyczną rozpoczął całym szeregiem romansów wydawanych pod pseudonimami, które przeszły bez wrażenia. Dopiero „Les derniers Chouans“ (1829 r.) zjednały mu ogromny rozgłos, towarzyszący odtąd znakomitemu pisarzowi aż po koniec życia. Do najcelniejszych jego utworów należą: „La recherche de l'absolu“ „Le medecin de Campagne“, „Eugenie Grandet“ i „Les parents pauvres“. Ostatniem dziełem Balzac'a jest „La comédie humaine“, w którem miały się połączyć w jedną całość wszystkie jego utwory. Śmierć, wyrywająca znakomitego pisarza z grona żyjących w 51 roku życia, nie dozwoliła mu na dokończenie tej ostatniej pracy.

* H. A. Revel napisał tragedyę w trzech aktach p. t. „Thanatos“ (Śmierć), w której występuje Szekspir jako jedna z osób działających. Pisma niemieckie przypominają z tego powodu, iż utwór p. Revel nie jest pierwszym ani jedynym autorem, wprowadzającym na scenę postać genialnego twórcy „Hamleta“. Między innymi uczynił to samo dramaturg Loessel, a dawniej jeszcze Karol Holtei, którego dramat zatytułowany „Szekspir“ cieszył się swego czasu dużem w Niemczech powodzeniem.

TEATR, MUZYKA I SZTUKI PIĘKNE.

* W Birmingham odbywają się co trzy lata wielkie festivale muzyczne. Tegoroczny będzie dyrygowany przez Hansa Richtera, znakomitego kapelmistrza, którego Kraków poznał w czasie niedawnej gościny filharmoników berlińskich w kwietniu. Otóż 2 października przedpołudniem zostanie festival zanaugurowany wykonaniem „Eliasza“, słynnego oratoryum Mendelssohna. Wieczorem tego samego dnia znajdzie się na programie psalm sir Huberta Parry „De Profundis“ składający się z 12 części, oraz „Obrazy morskie“ dzieło Elgara. We środę przedpołudniem będzie odśpiewaną po raz pierwszy kantata tegoż autora „Sen Gerrontiusa“ do tekstu, będącego utworem kardynała Newmanna. Wieczór środowy jest przeznaczony na kompozycyę Coleridge Taylora p. t. „Song of Hiamatha“, którem będzie na życzenie kompozytora dyrygował Hans Richter. Słynna „Matthäus-Passion“, arcydzieło Bacha, zapełni program czwartkowego rannego koncertu, „Requiem“ Brahmsa będzie odśpiewane w piątek przedpołudniem, a cała uroczystość zakończy się tegoż dnia wieczorem przez wykonanie „Messyasza“ — Händla.

* Albert Carré, dyrektor Opéra Comique w Paryżu, zamierza wystawić w ciągu zimowego sezonu „Armidę“ Glucka z Van-Dyckiem i panią Calvé w głównych rolach.

* W pałacu Trocadéro w Paryżu odbył się „La Fontaine'owski poranek“, na którym najlepsi recytatorowie francuscy wygłaszali bajki znakomitego poety. Prócz tego, artyści Comédie Française odegrali fragment z „Florentin“ i jeden akt „Czarodziejskiej filiżanki“.

* Drezdeński teatr ogłosił sprawozdanie z ubiegłego sezonu operowego. Ciekawe są w niem daty, tyczące się powodzenia repertuarowego dzieł słynnych mistrzów. Między innymi dowiadujemy się stamtąd, iż palmę pierwszeństwa osięgnął .... Strauss, którego operetka „Nietoperz“ doczekała się największej liczby przedstawień. O nieśmiertelny humorze, a raczej o humorystyczna nieśmiertelności!

* Pierwszą premierą „Theatre Libre“ w Paryżu, która ujrzy światło kinkietów w bieżącym sezonie, będzie pięcioaktowy dramat prozą p. t. „Monseigneur“ przez Charles Raymonda. W sztuce tej jest aż dwanaście ról kobiecych, mężczyzn zaś występuje tylko dwóch.

* Stowarzyszenie autorów dramatycznych w Paryżu wydało właśnie sprawozdanie za rok 1899/1900 z którego wyjmujemy następujące ciekawe daty. Paryzkie teatry wypłaciły autorom w sezonie 1899-1900 2,123.847·50 franków, to znaczy o 4.276·15 franków mniej aniżeli poprzedniego sezonu. Teatry prowincyonalne wypłaciły w tym samym czasie 968.575·60 fr. czyli o 12.372·35 fr. więcej niż w roku zeszłym. Teatry zagraniczne przyniosły autorom sumę 300.223·70 fr. która jest wyższą od poprzednio uzyskanej o 11.907·15 franków. „Café-Concerts“ paryskie w liczbie 60, figurują w sprawozdaniu z poważną sumą 265.746·70 fr. która przewyższa kwotę uzyskaną w roku zeszłym o 56·443 franków. Emeryturę otrzymuje 11 członków stowarzyszenia. Liczba nowych dramatów, zapisanych w repertuarze stowarzyszenia, które były wykonane po raz pierwszy w roku ubiegłym, wynosi 660.

NADESŁANE.

Na jubileusz Sienkiewicza.

Nakładem wydawnictwa „Kraju w obrazach“ wyszły z druku starannie wykonane karty korespondencyjne z widokami, z oryginałów Kossaka, Tetmajera, Stachiewicza i Batowskiego. Komplet kart zawiera epizody z „Ogniem i mieczem“, „Potopu“, „Wołodyjowskiego“ i „Krzyżaków“, z których kilka czytelnicy poznali już w „Ilustrowanym Głosie literacko-społecznym“.

Są do nabycia we wszystkich większych handlach.

Skład główny na Galicyę: Salon malarzy polskich w Krakowie.

Motto: *Cudze chwalicie, swego nie znacie — Sami nie wiecie, co posiadacie.*

P. T.

Podejmując poprzednie wydawnictwo „Kraj w obrazach“ z przekonaniem, że nowość ta zainteresuje najszerszy ogół, starałem się przez dokładność materyału i dbałość o estetyczną stronę wydawnictwa, na które to warunki główny kładę nacisk, odpowiedzieć zadaniu pierwszorzędnej publikacyi illustrowanej z treściwemi, możliwie dokładnemi objaśnieniami, dotyczącemi dat historycznych, tudzież szczegółów odnoszących się do przeszłości i teraźniejszego stanu danej **okolicy, miasta, gmachu** lub **zabytku historycznego,** zebranych przez pierwszorzędnych pisarzy naszych. Ukończyłem Seryę I. „Królestwo Polskie“ i przystępuję do wydawnictwa Seryi II. „Galicya w obrazach“.

Wydawnictwo składać się będzie z 24 do 30 zeszytów, a każdy zeszyt obejmie widoki fotodrukowe w rozmiarze $^{19}/_{24}$ ctm., a w ten sposób Galicya utworzy album z około 120 obrazów.

Odpowiedzialny redaktor na Galicyę: *Edmund Kolbuszowski.* Wydawca: *Konstanty Woźniak.*

WARUNKI PRENUMERATY: NA „GALICYĘ W OBRAZACH“

Cena pojedynczego zeszytu wynosi 60 hal. (groszy).

Prenumeratorzy, płacący z góry przy rozpoczęciu „Galicyi w obrazach“ 15 koron (za całość) bez względu na to, że ilość zeszytów odpowiednio do materyału może być powiększona, otrzymają ozdobną okładkę za połowę ceny sprzedażnej.

Nadto za przysłaniem 2 koron na opakowanie z wysyłką, otrzymają

bezpłatnie 5 premij wartości 18 koron

a to: obraz **„Kazanie Skargi“** z oryginału Jana Matejki wielkości ($^{48}/_{63}$ ctm.),
Album illustrowane **„Odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie“,**
Album illustrowane **„Ogniem i Mieczem“** podług rysunku **Juliusza Kossaka,**
Poczet **„Królów polskich“** na kredowym papierze wielkości ($^{63}/_{45}$ ctm.)
i **100 kart korespondencyjnych z widokami krajowymi.**

Premie bezpłatne dla prenumeratorów „GALICYI w OBRAZACH“

wyszły z druku a to: obraz **„Kazania Skargi“** z oryginału Jana Matejki wielkości ($^{48}/_{63}$ ctm.), Album illustrowane **„Odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie“,** Album illustrowane **„Ogniem i Mieczem“** podług rysunku **Juliusza Kossaka.**

Poczet **„Królów polskich“** na kredowym papierze wielkości ($^{63}/_{45}$ ctm.) i **100 kart korespondencyjnych z widokami krajowemi.**

Można je odbierać w danej księgarni gdzie została złożoną prenumerata na **„GALICYĘ W OBRAZACH“**

REDAKCYA.

Polecamy do nabycia we wszystkich księgarniach:

Portrety do Albumu Zasłużonych Polaków

$^{31}/_{48}$ ctm. wielkości, wyszły z druku, cena egzemplarza 1 K. 50 h.

Adam Mickiewicz rysunku St. Kostrzewskiego,
Henryk Sienkiewicz według fotogr. Miena,
Matejko według własnego potretu.

Album Henryka Sienkiewicza do powieści „Potop“

16 rycin 8-ka, broszurowana cena	2 K. 40 h.
17 rycin z prologiem 8-ka opr. w płót.	3 „ 60 „
16 rycin w teczce płóc. na kartonie	5 „ — „

do powieści **„Ogniem i Mieczem“** (nakład trzeci).

13 rycin 8-ka, broszurowane cena	2 K. 40 h.
oprawne w płótno	3 „ 60 „
w teczce płóciennej ryciny na kartonie	5 „ — „

„Kraj w Obrazach“

w streszczeniu (dla młodzieży). 8-o wspaniałe wydanie, illustr. z wierszem „Or-Ota“ Cena — 2 K.

ALBUM

„KRÓLOWIE POLSCY“

w ozdobnej płóciennej oprawie brzeg złocony

Cena — 2 K. 40 h.

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor: **Kazimierz Ehrenberg.**